EPOKA

TYGODNIK

ROK II — Warszawa, 11 czerwca 1933 R. — NR. 24 (37)

Cesarski komunizm

Emisarjuszka Akcji Katolickiej

Tragiczny konflikt

Przyszłość kultury duchowej

Kuźnia wykolejeńców

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki. Teatr.

AUTORZY: Derenicz. Chwistek. Wasowski. Waśniewski. Szemplińska. Samotyhowa. Burdecki.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

PROPAGANDA POLITYCZNA HOLLYWOODU

Hollywood zaangażował się w polityce. Pierwszy film z serji politycznej nosi tytuł „Gabriel nad Białym Domem". Obraz wywołał głośne polemiki i poważni publicyści poświęcają mu liczne artykuły. Film jest reklamowany jako „narzędzie propagandy", zmierzającej do zaznajomienia szerokich rzesz oraz zagranicy z „prawdziwem obliczem polityki Stanów Zjednoczonych".

Filmem tym dowiódł Hollywood, że w nowej dlań dziedzinie polityki, nie zrezygnuje z ogłupiającej widza naiwności w traktowaniu zawiłych spraw. Bohaterem obrazu jest Judson Hammond, wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Z chwilą, gdy nowoobrany prezydent wkracza do Białego Domu, odczuwa odrazu bezsilną zależność od kongresu i wielkiej finansjery. Nie buntuje się zresztą przeciw tej niewoli. Wkracza jednak interwencja losu pod postacią wypadku samochodowego. Pod wpływem wstrząsu — dokonywa się przewrót w mózgu Judson Hammonda. Wysłannik boski, archanioł Gabriel, zstępuje do Białego Domu i przeistacza osobę prezydenta, który po cudownem wyzdrowieniu — dymisjonuje gabinet, ujmuje w karby kongres i przystępuje do rozwiązania problemów socjalnych.

Na przestrzeni kilku metrów taśmy — zniesione zostaje bezrobocie. Pozbawieni pracy, wcieleni w brygady „odbudowy ekonomicznej" są świetnie opłacani, syci i zadowoleni. Jednem pociągnięciem pióra prezydent znosi ustawę o prohibicji, napełniając skarb podatkiem alkoholowym. Gangsterzy i bootlegerzy planują zamach dynamitowy na Biały Dom. Lecz archanioł czuwa! Kohorty policyjne, uzbrojone w mitraljezy, udaremniają zamach.

W dziedzinie polityki zagranicznej prezydent okazuje się niemniej genjalny. Porzuca zasadę Monroego „splendid isolation". Kraje Europy i południowej Ameryki upadają pod brzemieniem wydatków militarnych i przez zwykły upór nie płacą swych długów. Sytuacja zostaje jednak łatwo rozwikłana. Prezydent zaprasza na swój yacht ambasadorów wszystkich narodów. Wygłasza wówczas przed mikrofonem orędzie do całego świata, który oczywiście doskonale rozumie angielską przemowę i zdawał się jedynie żyć w oczekiwaniu tej uczty radjofonicznej. Aby przełamać resztki oporu dyplomacji międzynarodowej, prezydent urządza defiladę morskich i powietrznych sił zbrojnych Ameryki. Dowód potęgi jest tak nieodparty, że przedstawiciele wszystkich państw podpisują natychmiast dokument, który jest zarazem zobowiązaniem spłaty długów i... konwencją rozbrojeniową.

To „arcydzieło" propagandy jest przeróbką książki angielskiej Thomasa Tweeda. Autor książki potraktował wszystkie powyższe kwestje humorystycznie. Tragedja filmowego „arcydzieła" polega na tem, że z satyry Hollywood spreparował obraz „poważny", chwilami patetyczny.

DRAKOŃSKIE METODY

Przed trzema miesiącami ogłoszono w Z.S.S.R. dekret paszportowy, zmierzający do „oczyszczenia" wielkich miast: ustanowiono dla mieszkańców Moskwy, Leningradu, Charkowa obowiązek posiadania i zarejestrowania paszportu, wydanego przez policję G.P.U. Osoby, którym odmówiono wydania lub zarejestrowania dowodu musiały w ciągu 10 dni — opuścić miasto i osiedlić się w odległości co najmniej 50 km. Dekret godził w przeciwników regime'u, w burżuazyjny element „nieklasowy" i wszystkich tych, którzy „spożywając a nie produkując" obarczali budownictwo socjalistyczne.

Obecnie wprowadzany jest w życie drugi dekret, który rozszerza restrykcje paszportowe na pas szerokości 100 km., ciągnący się wzdłuż granicy zachodniej — dla wszelkich skupisk miejskich, ośrodków przemysłowych sowchozów, węzłów komunikacyjnych i t. d. Jednocześnie system, któremu poddane były dotychczas tylko trzy stolice, objął szereg innych miast. Odtąd nie będzie można przebywać bez paszportu w Kijowie, Odesie, Rostowie nad Donem, Mińsku, Stalingradzie (ex Carycyn), Stalińsku, Baku, Magnigotorsku, Czelabińsku, Sebastopolu, Permie, Dniepropetrowsku, Władywastoku.

Dekret, rozszerzający tak znacznie zasięg „czystki paszportowej" wyjaśnia właściwy cel zarządzeń restrykcyjnych. Chodzi nietylko o odciążenie miast od ludności napływowej i o usprawnienie systemu aprowizacji — lecz również o „oczyszczenie ośrodków robotniczych i pogranicznych z elementu, który mógłby odegrać rolę niepożądaną fermentu i inicjatora zamieszek."

ELLIS ISLAND

Przed wojną przybywało do Stanów Zjednoczonych średnio 750 tysięcy imigrantów rocznie. Ellis Island, mała wysepka w porcie nowojorskim, była miejscem przeglądu olbrzymiej armji przybyszów, kontrolowanej przez lekarzy i agentów federalnych. Wysepka była istną mieszaniną ras i języków. Dziennie przebywało 2 do 4 tysiące osób. Wraz z wybuchem wojny emigracja do U.S.A. całkowicie ustała. W r. 1921 Kongres Stanowy uchwalił t. zw. prawo kwot, określające kontynenty roczne emigrantów dla poszczególnych państw Europy. Jednocześnie uchwalono restrykcje, których celem była materjalna i socjalna selekcja elementu napływowego.

Dziś — nastąpił moment odpływu. Krachy giełdowe, powszechne zubożenie, bezrobocie — wywołują wśród emigracji nastroje paniki, chęć ucieczki. Rząd U.S.A. pomaga temu odpływowi.

Wyspa Ellis Island, która spełniała kiedyś rolę „wejściowych drzwi" do U.S.A., zamieniła się dziś w obóz deportacyjny. Zdarzają się tu interesujące wypadki. Oto przyprowadzono młodzieńca we fraku i cylindrze w towarzystwie młodej, zapłakanej kobiety w ślubnym welonie. Rywal zadenuncjował w dzień ślubu młodzieńca, jako nielegalnie przybyłego do U.S.A. przed kilku laty.

A oto — młoda chłopka irlandzka, matka trojga dzieci nieznanych ojców. Deportują ją za kradzież. Nie chce zabrać z sobą potomstwa: „Trzy bękarty — bez męża stworzą mi złą reputację we wsi". Troje dzieci, urodzonych w U.S.A. — są obywatelami amerykańskimi i niema podstaw prawnych do ich deportacji. Zostają tedy na opiece władz federalnych.

Szczególną taktykę obronną stosują Chińczycy. „Urodziłem się w Frisco w r. 1904" — lub też wy-

mieniają jakikolwiek inny rok przed 1906. Rok 1906 jest datą trzęsienia ziemi i olbrzymiego pożaru, który zniszczył wszystkie archiwa San Francisco. Kontrola wiarogodności zeznań Chińczyków jest niemożliwa. Lecz denuncjują ich zazdrośni współobywatele. Inspekcja emigracyjna otrzymuje codziennie anonimowe doniesienia: „Hong-Wing-Hong przybył tu nielegalnie. Przemycił się z Kuby. Handluje opium i kobietami..." Doniesienia te niezawsze zresztą są fałszywe.

WIEDZA WOJUJĄCA

Prof. dr. Krieck, nowoobrany rektor uniwersytetu w Franfurcie nad Menem, wygłosił przy objęciu swego stanowiska mowę do ciała profesorskiego i studentów, w której położył nacisk na konieczność zastąpienia odtąd ideologji humanitarystycznej ideologją polityczno-bojową. Dr. Krieck oświadczył:

„Obowiązkiem szkół wyższych jest obecnie szerzenie i pielęgnowanie nie wiedzy *objektywnej*, lecz *żołnierskiej i wojującej*, której najwyższym i ostatecznym celem jest i musi być kształcenie woli i charakteru młodzieży w kierunku narodowym".

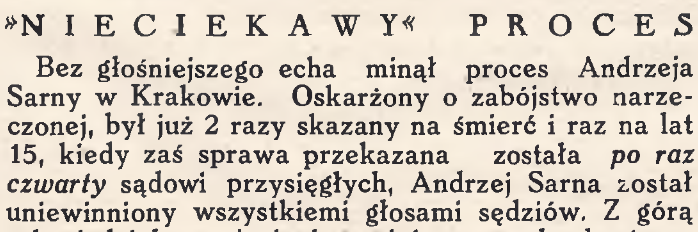
ICH TUPET

Na kongresie P.E.N. Clubu w Dubrowniku, delegacja niemiecka nie doszła do porozumienia z resztą delegacyj i opuściła kongres. Było to do przewidzenia. Trudno przecież wyobrazić sobie współpracę pisarzy hitlerowskich z z międzynarodową instytucją literacką, która nie zna nienawiści narodowych, rasowych, religijnych. Podziwiać należy tupet delegacji niemieckiej, która odważyła się przybyć na kongres P.E.N. Clubu. Samo jej przybycie, parę tygodni po spaleniu dzieł najwybitniejszych członków P.E.N. Clubu na Placu Opery w Berlinie, było bezczelnem wyzwaniem, rzuconem literaturze wszechświatowej.

»NIECIEKAWY« PROCES

Bez głośniejszego echa minął proces Andrzeja Sarny w Krakowie. Oskarżony o zabójstwo narzeczonej, był już 2 razy skazany na śmierć i raz na lat 15, kiedy zaś sprawa przekazana została *po raz czwarty* sądowi przysięgłych, Andrzej Sarna został uniewinniony wszystkiemi głosami sędziów. Z górą rok siedział w więzieniu, najpierw po dwukrotnym wyroku śmierci, potem pod grozą 15 lat więzienia. Nic dziwnego, że w ostatnim dniu procesu, w przeddzień ogłoszenia wyroku uniewinniającego, dostał na sali sądowej ataku szału.

Wstrząsająca sprawa Andrzeja Sarny nie wzbudziła większego zainteresowania opinji publicznej, chociaż nadawała się do największego rozgłosu. Wymiar sprawiedliwości przeszedł tu przez okrutne doświadczenia. Ale nie było tu momentów „pikantnych", nie było sensacji erotycznych. Więc cały przebieg tej straszliwej historji notowano tylko w drobnych wzmiankach kronikarskich...



CESARSKI KOMUNIZM

Do sowietyzmu, faszyzmu, hitleryzmu przybywa nowy twór: „cesarski komunizm". Ten dziwoląg jeszcze nie sięgnął po władzę, ale zaczyna się już wykluwać w Japonji.

Japonja ma zdawna ustaloną sławę patrjotyzmu i lojalności wobec jej władców „boskiego" pochodzenia. Pełno jest najrozmaitszych związków patrjotycznych w Japonji. Różne hasła zdobią ich programy. Jedne, kulturalno-patrjotyczne, usiłują chronić starą Japonję przed „niszczycielskim" zalewem modernizmu. Inne rozumieją partjotyzm w ten sposób, że dostarczają łamistrajków na wypadek strajków fabrycznych. Istnieją partjotyczne związki studenckie, wojskowe i wiejskie.

W grudniu ubiegłego roku, wypłynął na widownię związek patrjotyczny pod nazwą „Ligi Narodowej". Związek ten zdobył dość szerokie wpływy wśród ludności, przeciągnął na swoją stronę kilkudziesięciu członków parlamentu, ustalił flagę związkową i nawet uniformy, których zasadniczą część stanowią czarne koszule.

„Liga Narodowa" odrzuca demokrację i kapitalizm, wysuwając nacjonalizm, jako swe naczelne hasło. Kierunek ten, spowinowacony z komunizmem, faszyzmem, a najwięcej niemieckim „narodowym socjalizmem", otrzymał w Japonji nazwę „cesarskiego komunizmu", — cesarskiego, gdyż tradycja o „boskiej" progeniturze władców Japonji, tak głęboko tkwi jeszcze w umysłach i uczuciach Japończyków, że każdy ruch, choćby najskrajniej odbiegający od monarchji, odbywa się pod znakiem mikada. Cesarsko-japoński komunizm jest więc ruchem japońskim, wschodnią odmianą współczesnego odwracania się od burżuazyjnego liberalizmu i demokratycznych zdobyczy, identyfikowanych z prywatnym kapitalizmem. Te pro-rewolucyjne zasady, wysuwane przez pewne grupy Japończyków, tkwią jednocześnie w konserwatyzmie, reprezentującym nawrót do „czystości starej tradycji". Cesarscy komuniści twierdzą, że restauracja z r. 1868 nie udała się całkowicie. Przywróciła tron cesarzowi, obalając „szogunów", ale popełniła karygodne błędy przez wprowadzenie zachodniego kapitalizmu i zachodnich metod polityki. Te błędy mszczą się dzisiaj na Japonji, która w swym pochodzie obrała nie ten bieg, jaki jej już dawno wyznaczyły tradycyjne zasady czystej rasy japońskiej. Należy odrzucić naleciałości zachodnie i zrekonstruować naród na podstawach czysto rodzimych.

Jak wygląda zasadniczy program komunistów japońskich o cesarskich barwach? Jest zlepkiem haseł europejskich „izmów" ostatniej doby z tradycją japońską. Oto główne hasła japońskiego neonacjonalizmu z etykietą „cesarskiego komunizmu":

1. Przyznanie prawa do gwałtownej rewolucji i coup d'état, jak to uczynili Napoleon i Lenin.

2. Zniesienie parlamentaryzmu, źródła nadużyć ze strony partyj politycznych.

3. Ustalenie dyktatury, zgodnie ze zwyczajem wschodnim, że masy powinny być rządzone przez mędrców.

4. Cesarz będzie reprezentantem narodu.

5. Głos wyborczy ma być przyznany głowie każdej rodziny.

6. Ograniczenie prywatnej własności. Majątki powyżej 1-go miljona jen ulegną konfiskacie. Przedsiębiorstwa z kapitału powyżej 10 miljonów jen zostaną znacjonalizowane. Ważniejsze przemysły — również.

7. Niedozwolona będzie polityczna krytyka. Opozycja będzie surowa tłumiona.

8. Zamiast parlamentu powstanie organ doradczy w postaci konferencji przedstawicieli rezerwistów.

Skąd ten rewolucyjny impuls z jednoczesnym nawrotem do przeszłości? Przecież trudno znaleźć w historji innego kraju taki postęp na wszystkich polach, jakiego dokonali Japończycy w ciągu 60 lat. W r. 1870 Japończycy wystartowali dosłownie z pozycji zerowej, a dziś są jednym z najpotężniejszych narodów świata. Podstawy jednak całego życia gospodarczego Japonji toczy jakiś robak.

Może nie robak, a... lawina. Lawina dzieci. Na minutę rodzi się w Japonji czworo dzieci! W r. 1930 liczba urodzeń wyniosła 2.102.784, naturalny przyrost — 861.893, czyli codziennie przybywało do żywienia 2.300 ust. Za 25 lat Japonja będzie liczyła 80 — 90 miljonów ludności, skupionej na uprawnej przestrzeni, mniej więcej równej Polsce. (A w całej Japonji istnieją tylko dwie „poradnie macierzyństwa", obydwie w Osace).

Przez długie lata ten malthusowski „nacisk ludności na środki egzystencji" był maskowany zwiększoną siłą produkcji, uzyskaną dzięki europeizacji japońskiego przemysłu. Sztuczne nawozy i bardziej naukowe metody kultury rolnej podwoiły produkcję ryżu. Nowy przemysł dał pracę miljonom rąk. „Prosperity" amerykańskie, które uczyniło jedwab codziennym strojem miljonów Amerykanek, otworzyła dla Japonji największy rynek świata. Ale przyszedł kryzys, który najdotkliwiej odbił się na ludności wiejskiej Japonji, stanowiącej 53% ogólnej ludności. Ceny na produkty rolne spadły w ciągu ostatnich kilku lat prawie o 50%. Ceny na jedwab surowy, ten, obok ryżu, najważniejszy produkt japońskiego rolnictwa, spadły w katastrofalny sposób. W okresie „prosperity" amerykańskiego płacono w Jokohamie za pakę surowego jedwabiu 2.000 dolarów, w r. 1929 — już 700, w r. 1930 — 500, a w r. 1931 zaledwie 150 dolarów. Do tego kryzysu, związanego z ogólnoświatowym kryzysem, dołącza się jeszcze ciężkie położenie naskutek długów, jakie rolnik japoński zmuszony jest stale zaciągać dla podtrzymania swego deficytowego gospodarstwa.

Zwolennicy reform widzą przyczynę katastrofalnego stanu wsi w kapitalizmie. „Restauracja z r. 1868 — mówią oni — wprowadziła do Japonji europejski komercjalizm, niszcząc gospodarkę japońskich rolników. Miasta rozwijają się, a wsie upadają. Ziemia, kopalnie, fabryki i środki komunikacji stały się własnością tych, którzy mieli pieniądze. Jeżeli oni mają decydować o dalszych losach kraju, Japonja będzie zgubiona. Należy dokonać wielkich reform dla ratowania Japonji. Należy podciąć siekierą korzeń zła, a mianowicie, zniszczyć plutokrację i partje polityczne".

Prorocy drugiej restauracji Japonji, znajdującej się pomiędzy młotem wciąż rosnącej ludności a kowadłem kryzysu, jaki przechodzi dzisiaj kapitalizm, znajdują coraz większy posłuch dla swoich teoryj. Ostatnio nawet zainteresowali się niemi członkowie domu cesarskiego. Czy ten narodowy socjalizm, alias „cesarski komunizm", zdoła dokonać czegoś w Japonji, o tem przedewszystkiem zadecydują prawdopodbnie wyniki ekspansji Japonji na lądzie Azjatyckim. Niepowodzenie działań wojennych, może stać się hasłem do wystąpienia na widownię cesarsko-japońskich komunistów. Zresztą, mogą o tem zadecydować i inne czynniki lub zdarzenia.

Dr. Michał Derenicz

PRZYSZŁOŚĆ KULTURY DUCHOWEJ W POLSCE

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Polska wydała szereg wielkich umysłów, które wywarły decydujący wpływ na rozwój kultury duchowej całego świata. Wystarczy wymienić Kopernika, Chopina i panią Curie-Skłodowską. Niemniej oblicze naszej kultury duchowej nie jest dość jasno nakreślone, nie narzuca się zagranicy i sprawia, że jesteśmy zbyt często niedoceniani. Przyczyną tego jest omyłka, którą popełniliśmy w wieku XVI, w tym okresie, kiedy genjusz narodowy zaczął rozwijać się na wielką skalę, wyzwalając ideję wolności sumienia i tworząc podstawy nowoczesnego parlamentaryzmu. Jesteśmy narodem zbyt pobudliwym i zbyt łatwo dajemy ponosić się fantazji. Upojeni rodzącą się na naszej ziemi atmosferą wolności, nie spostrzegliśmy, że pozostawała ona w zbyt jaskrawym kontraście z tem, co działo się w państwach ościennych. Wyprzedzając Europę w rozbudowie życia społecznego, popadliśmy zbyt rychło w megalomanję i zamiast doskonalić i rozwijać nasze zdobycze, popadliśmy zbyt rychło w skrajny konserwatyzm, który sprowadził na nas bezprzykładną w wiekach nowożytnych katastrofę. Niewola zachwiała w nas wiarę we własne siły, narzuciła nam obce poglądy i obce formy życia i z dumnego narodu sięgającego po najwyższe zdobycze duchowe, uczyniła z nas nieśmiałych uczniów, którym byle kto odważał się dawać rady i napomnienia.

Polacy są w stosunku do innych narodów wybujałymi indywidualistami. Indywidualizm Polaków zawiera w sobie wiele elementów niebezpiecznych i aspołecznych. Gdybyśmy pozwolili elementom tym rozwinąć się nadmiernie, groziłaby nam powtórna katastrofa. Trzeba jednak powiedzieć wyraźnie, że jeżeli uda nam się zdobyć potrzebny stopień umiarkowania, to właśnie dzięki temu indywidualizmowi możemy odegrać doniosłą rolę w historji ludzkości.

Z indywidualizmem polskim łączą się dwie cechy, będące niezmiernie doniosłemi czynnikami kulturalnemi, a mianowicie sceptycyzm i połączona z nim tendencja do tolerancji i przesunięcie punktu ciężkości życia w kierunku świata wyobrażeń i wizji.

Otóż, zasadniczą tragedją kultury europejskiej, tą właśnie, z której zrodziły się wszystkie kataklizmy społeczne, jest tendencja do dogmatycznej koncepcji świata z jednej, a zbytni szacunek dla dóbr materjalnych z drugiej strony.

Dogmatyzm metafizyczny polega jak wiadomo na tem, iż wierzymy, że udało nam się poznać bezwzględną prawdę i że wszyscy ci, którzy są innego

zdania niż my, są w błędzie i jako tacy powinni być zwalczani. Wiadomo, że z tej doktryny zrodziła się Inkwizycja, wiadomo, że do niej sprowadza się przesąd o wyższości tej lub innej rasy, lub tej lub innej kasty społecznej. Należy zauważyć, że w Polsce doktryny tego rodzaju nigdy nie pociągały umysłów wybitnych i samodzielnych. Polska nie wydała ani jednego dogmatycznego metafizyka wielkiej miary. Dogmatyzm metafizyczny w Polsce był reprezentowany przez osobistości drugorzędne i był jedynie echem metafizyki niemieckiej. Polacy nigdy nie uchodzili za tęgich filozofów i rzeczywiście literatura filozoficzna polska jest nad wyraz uboga.

Ten stan rzeczy jest rezultatem osobliwego nieporozumienia. Wiadomo, że Rosjanie są urodzonymi filozofami, że literatura rosyjska przepojona jest filozofją. Niemniej rola filozofji rosyjskiej w historji myśli europejskiej wydaje się dość skromna. Przyczyna tego stanu rzeczy jest łatwa do określenia. Narody spóźnione w rozwoju kulturalnym, przejmują gotowe schematy myślenia z zewnątrz, nie przystosowane do własnych potrzeb. Iść drogą narzuconą przez obce autorytety nie mogą, bo czują się na niej niedobrze. Iść drogą własną nie mają odwagi, lub poprostu (i to jest najczęstsze) nie umieją jej określić i sformułować. Zjawisko to występuje w Polsce w formie bardzo jaskrawej. Istota filozofji polega według mojego zapatrywania na sformułowaniu swojego indywidualnego poglądu na świat. Niema i być nie może filozofji niezależnej od pewnego indywiduum. Filozof nigdy nie potrafi nam odpowiedzieć na pytanie co jest rzeczywiście, mówi nam raczej o tej rzeczywistości, z którą on właśnie ma do czynienia i o tem, za czem tęskni i czego oczekuje. Jednemu potrzebny jest Bóg Osobowy, innemu ewolucja materji, innemu wreszcie świat wrażeń oczyszczony z wszystkich teoretycznych dodatków. Umysł Słowian jest ciekawą kombinacją wizjonerstwa i racjonalizmu. U Rosjan dołącza się do tego tendencja dogmatyczna, u Polaków przeważa krytycyzm. Na dnie duszy słowiańskiej drzemie wiara, że świat wrażeń jest równie od nas niezależny jak świat wizji i stąd właśnie płynie tak częsta u nas bezradność wobec życia praktycznego. Nieszczęście pokolenia poprzedniego polegało na tem właśnie, że ci wszyscy „idealiści" uważali się za ultrapraktycznych ludzi, porywali się na czyny, o których nie mieli pojęcia i oczywiście ulegali w walce. Dzisiaj zrozumieliśmy, że walki z życiem musimy się uczyć od narodów zachodnich i mamy już pod tym względem poważne rezultaty. Ale z tego nie wynika bynajmniej, żebyśmy mieli rezygnować z naszej konstrukcji psychicznej i przystosowywać się do typu zagranicznego. Sprawy materjalne zawsze pozostaną dla nas złem koniecznem. Zawsze walczyć o nie będziemy, bo wiemy, że bez tej walki nie potrafimy obronić naszych praw do życia, — ale właściwym naszym celem pozostanie samo życie z całem bogactwem form i kolorów, w jakie ubiera je nasza wyobraźnia.

Wszyscy cudzoziemcy, z którymi rozmawiałem o Polsce, bez względu na ich sąd o naszym narodzie, przyznali zgodnie, że życie tutaj jest łatwiejsze i przyjemniejsze niż zagranicą. Nie znaczy to bynajmniej, żebyśmy byli lepsi od innych narodów. I u nas walka o byt jest bezwzględna i zawzięta, i u nas jest niemało ludzi zawistnych i okrutnych. Jedno jest tylko inne. Zawziętość i okrucieństwo są u nas objawem namiętności i szału, nie są prawie nigdy rezultatem zimnego wyrachowania. Nie posiadamy irracjonalnej wiary w bezwzględny autorytet naszych principiów. Jesteśmy nieraz zarozumiali i pyszałkowaci, ale naogół nie jesteśmy uparci. Posiadamy więcej autokrytycyzmu, niżby o tem świadczyła nasza literatura. Brak nam raczej odwagi do otwartego skonstantowania faktycznego stanu rzeczy.

Jeśli tendencja do autoanalizy, która zaczyna się rozwijać w naszej literaturze, nie zostanie zahamowana, powinniśmy przyczynić się bardzo wydatnie do rozwoju racjonalizmu krytycznego, t. j. doktryny, która przeciwstawia się z całą stanowczością identyfikowaniu indywidualnych systemów filozofji z absolutną prawdą.

Właśnie dlatego, że jest u nas za dużo indywidualizmu, że żadna doktryna nie znajduje szerokiej masy ślepych wielbicieli, jesteśmy predestynowani do tego, żeby być obrońcami tolerancji i organizatorami postępu w dziedzinie kultury duchowej. Odzyskanie niepodległości nauczyło nas tej wielkiej prawdy, że niema apriorycznych praw rzeczywistości społecznej i że napozór nierealne marzenie tworzy nową bardzo konkretną rzeczywistość. My właśnie powołani jesteśmy do tego, żeby w katastrofie jakiej ulega ludzkość na skutek wojny światowej, dostrzec elementy nowego porządku życia społecznego i walczyć o ich zrealizowanie.

Czy potrafimy spełnić to zadanie, czy nie ulegniemy sugestji narzucanej nam przez silniejsze środowiska? Niepokojących tych pytań nie mogę w tej chwili rozstrzygnąć z całą stanowczością. Pragnę jednak zaznaczyć, że bardzo wiele objawów zdaje się świadczyć o tem, że nie cofniemy się przed spełnieniem naszego obowiązku. Mam na myśli przedewszystkiem naszą młodzież . Jako pedagog miałem sposobność poznać ją do gruntu i upewniłem się, że posiada ona wielki zapał do pracy, wielką wytrzymałość i dużą inteligencję.

Liczba samodzielnych pracowników we wszystkich działach nauki i sztuki wzrasta u nas mimo opłakanych warunków zewnętrznych z każdym rokiem. Niektóre działy nauki, że tylko wspomnę matematykę, zdołały wznieść się w ciągu krótkiego okresu niepodległości na poziom bardzo wysoki, mimo że nie posiadały u nas poważnej tradycji. Literatura i sztuka muszą walczyć z bardzo silnym oporem przedstawicieli tradycji. Niemniej okres, kiedy byliśmy tylko echem zagranicy, należy do przeszłości. Pomimo ciężkich warunków walka o nowy styl malarstwa, poezji i teatru, prowadzona jest u nas z konsekwentnym uporem. Jest dobrze zaznaczyć, że okres kryzysu spowodował wzmożoną akcję organizacyjną wśród artystów i odbił się dodatnio na ich twórczości, uniezależniając ją od smaku przeciętnego znawcy.

Uprzedzenia narodowościowe wpływały dotąd hamująco na wyzyskanie sił umysłowych naszych Żydów i wielkich zdolności artystycznych Ukraińców. Pewne objawy zdają się wskazywać, że ten smutny okres ma się ku końcowi. Jeśli uda się naprawdę doprowadzić do współpracy kulturalnej wszystkich narodów zamieszkujących ziemie polskie, wtedy ziemie polskie powinny zamienić się w bardzo silny ośrodek kulturalny.

Na zakończenie pragnę poruszyć jeszcze jedną sprawę. Jednym z najsilniejszych hamulców naszej kultury duchowej jest przesąd, że środowiska po-

zbawione wielkiej tradycji, nigdy nie potrafią wznieść się na najwyższy szczebel kultury. Przesąd ten lansowany jest przez jednostki mało ambitne i nieświadome tego faktu, że tylko najwyższa ambicja może oddziałać naprawdę twórczo na dane środowisko. Otóż ciemną stroną naszej przeszłości jest brak najwyższych ambicyj kulturalnych. Nie wierzyliśmy we własne siły i zadowalaliśmy się rolą konsumentów kultury zagranicznej, lekceważąc to wszystko, co w kulturze naszej było oryginalne i twórcze. Przedstawicieli tego stanowiska nie brak u nas do dnia dzisiejszego, należy jednak stwierdzić, że ostatnie lata przyniosły obudzenie się w naszem społeczeństwie ambicyj najwyższego gatunku. Namiętność taka raz rozbudzona nie powinna rychło wygasnąć. Należy się raczej spodziewać, że będzie wzrastała i pogłębiała się z każdym rokiem. Jeśli tak będzie rzeczywiście, to może danem nam będzie przeżyć okres wielkiego rozkwitu kultury duchowej na naszej ziemi.

Prof. Leon Chwistek

ODGŁOSY

TRAGICZNY KONFLIKT

Ostatniemi czasy robotnicy polscy coraz częściej uciekają się do rozpaczliwego sposobu walki o byt: proklamując strajk, lub w razie redukcji, czy grożącej likwidacji przedsiębiorstwa, nie opuszczają miejsca pracy. Całemi tygodniami pozostają w fabryce czy kopalni, widząc w tem broń skuteczną, nacisk na przedsiębiorców radykalny.

Jest to już zjawisko epidemiczne. I — powiedzmy odrazu — głęboko tragiczne: ludzie, pragnący utrzymać się przy warsztacie pracy, nie opuszczający miejsc swego znojnego trudu, obrażają literę prawa, popełniają jaskrawe przestępstwo, okupują bowiem cudzą własność. Tak już postępują rzesze wielotysięczne.

W ustroju, w którym obowiązuje prawo własności, władze państwowe nie mogą tolerować tych sposobów walki. To jasne. Przedstawiciele władz administracyjnych, funkcjonarjusze policji, sędziowie, inspektorzy pracy musieliby wprzódy opuścić swoje urzędy, zapomnieć o kodeksie karnym i ogłosić zniesienie praw własności, słowem — przejść na drugą stronę barykady i proklamować rewolucję socjalną. Przedsiębiorca ma prawo domagać się od władz państwowych obrony swej własności, tak samo jak każdy obywatel może żądać interwencji tych władz, jeśli mu ktoś bezprawnie zajmie jego mieszkanie.

Więc żadnej nie ulega wątpliwości, że okupowanie miejsc pracy jest bezprawiem.

Stwierdzenie tej prawdy nie wyczerpuje sprawy. Robotnik chwyta się sposobów tak krańcowych i bezprawnych, jak ostatniej deski ratunku przed nędzą. Dopóki znajduje się w warsztacie pracy, ma nadzieję, że przecież nie pójdzie na bruk. Manifestuje *chęć pracy*. W jego świadomości — to, że chce pracować, uprawnia go moralnie do pozostania w fabryce, która ma się zlikwidować, czy w kopalni, która miała być zalana. Robotnik taki nie widzi nigdzie wyjścia ze swojej potwornej sytuacji. Ubezpieczenia społeczne nie dadzą mu nawet minimum egzystencji, pracy gdzieindziej nie dostanie, społeczeństwo nie pomoże. Więc wniosek: zostać w gmachu fabrycznym, może to zniewoli przedsiębiorcę do zaniechania zamiarów likwidacyjnych czy redukcyjnych. W tem położeniu i w tym stanie psychicznym robotnik nie analizuje „konieczności kryzysowych" i „konjunkturalnych", nie bada stanu rynków zbytu, nie zajmuje się kalkulacją przedsiębiorstwa. *Chce pracować*, żeby mieć co jeść i mieć czem nakarmić swoją rodzinę. Wszystko, co mu pracę odbiera, jest *w jego świadomości* bezprawiem, krzywdą, zbrodnią. Otóż to właśnie: to, co jest literą prawa, robotnik w tem położeniu uważa za pogwałcenie praw człowieka do pracy, do jedzenia, do mieszkania... I nic tu nie pomoże książka buchalteryjna czy podręcznik ekonomji politycznej.

Oto konflikt istotny pomiędzy logiką sytuacji gospodarczej, logiką kalkulacji przemysłowej i handlowej, logiką prawa, a świadomością i uczuciem zbiorowem proletarjatu.

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: konflikt ten pogłębia się nieustannie. Obecnie, *narazie*, w dobie powszechnego prowizorjum, niema innych środków łagodzenia sytuacji, niż polityka paljatywów, półśrodków, chwilowych kompromisów. Usunięcie natomiast konfliktu tak głębokiego wydaje się możliwe jedynie na drodze podstawowych zmian ustrojowych.

J. W.

Z LIGI REFORMY OBYCZAJÓW

Dnia 29 ub. m. odbyło się w Warszawie walne zgromadzenie członków Ligi Reformy Obyczajów. Przytaczamy sprawozdanie z tego zebrania według *Expressu Porannego:*

„Zebranie zagaił p. Józef Wasowski, redaktor „Epoki", który w mocnych i pełnych zapału słowach zobrazował istotę Ligi, jej cele i drogi, jakiemi ma iść jej praca.

Niewiele potrzebujemy ze sobą dyskutować — zaczął — my, którzy się rozumiemy. Ale jesteśmy na polu walki, wrogiemi zastępami otoczonem. Więc przyszliśmy tu, aby się policzyć, aby wspólnie skrzepić siły i zdać sobie sprawę z pracy, jaka leży przed nami, z trudności, z jakiemi będziemy musieli się porać i z ilości i jakości wrogów, którym trzeba się będzie przeciwstawić.

Jest ich wielu. Pierwszy z nich — to skrajna prawica, żywioł stróżujący u wrót ciemnoty i czerpiący z niej zyski. Drugi — to średniowieczny fanatyzm, żyjący mrokiem przeszłości, choć jawi się w wieku XX. Trzecim wrogiem są sługi krzewicieli ciemnoty, demagodzy i oszczercy. Tych broń jest najzjadliwsza. Nie wahają się użyć dla swych celów żadnego fałszu, obmowy, zmyślenia. My, reprezentanci myśli niezależnej, jesteśmy przez nich pokazywani oczom otumanionej, oszukanej części społeczeństwa, jako apostołowie nowoczesnej Sodomy i Gomory, propagatorzy rozpusty i wrogowie rodziny. Doprawdy, gdybyśmy byli w jednej setnej części tacy, jakimi nas

malują, nie byłoby kary, na którąbyśmy nie zasłużyli! Czwartym naszym wrogiem jest olbrzymia, ciemna siła — nieuświadomienie, mętna myśl i nieznajomość wielkich tragedji obyczajowych współczesnego świata. I jeszcze jeden wróg: ludzie o brudnej wyobraźni. Ci wietrzą wszędzie cele niskiego gatunku. Nam insynuują je również.

Ale my się wrogów nie boimy. Niech rzucają swoje kamyczki i kamienie. Nie cofniemy się przed niemi. Musimy zdobyć się na odwagę cywilną. Bez niej niczego nie dokonalibyśmy. Sprawa nasza jest słuszna. Celem jej jest walka z krzywdą ludzką.

Mamy wśród nas dobrego wodza sprawy reformy obyczajów, uosobienie odwagi cywilnej, tego, którego zasługi będą policzone w historji, gdy o kalumniatorach dawno już się zapomni — d-ra Boya-Żeleńskiego (oklaski). Przystępujemy do pracy, wierząc, że przyczyniamy się do zbudowania mądrzejszej i moralniejszej przeszłości".

Przemówienie red. Wasowskiego spotkało się z istną burzą gorących oklasków, poczem został on przez aklamację obrany przewodniczącym zebrania.

Następnie zabrał głos prezes Ligi dr. Tadeusz Boy Żeleński, który w zwartem i mocnem przemówieniu zobrazował ideologję Ligi.

„Chodzi nam — powiedział — o przeoranie dzisiejszego życia, o wyplenienie absurdów i okrucieństwa, jakie w niem panuje. Źródłem tego zła są często urojenia i przesądy. Wystarczy je sobie uświadomić, by znikły. Każdy z nas, myśląc na własną rękę, waha się, czuje się osamotniony i niewiele zdziałać może, ale skupienie ludzi wspólnie myślących, przynosi wielkie zmiany. Jest rzeczą niezmiernie radosną widzieć, że do naszej Ligi garną się ludzie, którzy swym autorytetem, zasługami, rozumem i pracą bardzo wiele zdziałać mogą. Przychodzą do nas ludzie pióra i działacze społeczni. Co dnia przybywają nam nowi członkowie, napływają też liczne zgłoszenia z prowincji. W miarę napływu członków tworzyć będziemy koła lokalne, zostawiając im pewną samodzielność działania.

Nie mamy oczywiście zamiaru ograniczyć się do założenia i prowadzenia poradni świadomego macierzyństwa, ale uważamy ją za bardzo ważny etap naszej pracy. Wykracza ona poza dziedzinę spraw seksulnych, łącząc się z zagadnieniami społecznemi i kulturalnemi. Na dalszą metę myślimy o założeniu własnego pisma, któreby służyło naszej ideologji, oraz o zorganizowaniu odczytów, któreby stanowiły dla nas równocześnie propagandę i źródło dochodów".

Po przemówieniu dr. Boya-Żeleńskiego, przyjętem ogólnym odzewem zapału, zabrała głos pani Wanda Melcer, sekretarka Ligi, która, odczytawszy statut i sprawozdanie z dotychczasowej działalności Ligi, wyjaśniła, czego Liga spodziewa się od gorliwości i dobrej woli swych członków, oraz nadmieniła, że oprócz listów z najdalszych zakątków prowincji odbiera codziennie dziesiątki zgłoszeń z zagranicy, z Francji, Belgji, Szwajcarji i Ameryki oraz propozycje współpracy Ligi z istniejącemi już instytucjami zagranicznemi.

Następnie przemówiła znana pisarka p. Irena Krzywicka, przedstawiając w realnych zarysach plan najbliższych prac Ligi, które będą prowadzone w sekcjach: propagandowej, dochodowej, organizacyjnej i pedagogiczno-wychowawczej. P. Krzywicka wezwała wszystkich członków, którzy rozporządzają czasem, wiedzą i dobrą wolą, aby zgłaszali się do najbardziej odpowiadających im sekcyj.

Wkrótce przed listą zgłoszeń uformowała się kolejka z kilkudziesięciu osób.

Wieczór zakończyła ogólna dyskusja, wśród której wysunięto wiele ciekawych projektów prac, sposoby trafiania do odpowiednich ludzi i najbardziej celowe metody działalności".

Z okazji pierwszego zgromadzenia członków Ligi Reformy Obyczajów, pisze p. Wincenty Rzymowski w *Kurjerze Porannym:*

„Obóz faryzeuszów „wyklina" Ligę w imię kanonów rzekomo religijnych i chrześcijańskich. Ale piana nienawiści, z jaką faryzeusze klątwy swe ciskają, najlepiej świadczy o tem, że z istotą chrześcijaństwa nie mają oni nic wspólnego. Prawdziwy bowiem chrystjanizm nie da się oddzielić od humanitaryzmu, a religja, oderwana od służby, niosącej ulgę i pomoc człowiekowi, staje się tylko religjanctwem i klerykalizmem, t. j. pustą, obrzędową formalistyką albo ambicją, mającą na widoku tylko interes i władzę."



NIENAWIŚĆ

Znany pisarz niemiecki, *Henryk Mann*, autor „Błękitnego Anioła", którego dzieła skazała hitlerja na spalenie, zamieścił w tygodniku paryskim *Marianne* artykuł p. t. „Nienawiść".

Henryk Mann pisze, że wypadki jakie rozgrywają się w Niemczech ujawniły fenomen nienawiści w jej najpierwotniejszej formie. W normalnych czasach człowiek cywilizowany spotyka się w życiu z nienawiścią, ale łagodzoną i utrzymywaną w granicach społecznej nieszkodliwości: „Zestawiając naszego wroga z przyjacielem — zdajemy sobie jednak sprawę, że obydwaj są ludźmi".

W partji hitlerowskiej widzi Mann dwa wyraźne typy: *brutalnego chama* i *renegata cywilizacji*, dla którego sprawia olbrzymi trud sama nawet próba „odbarbaryzowania się". Przykładem drugiego typu jest niedoszły powieściopisarz, a obecny minister propagandy narodowej. Goebbels był uczniem Żyda, znanego krytyka Stefana George'a.

„Dziś — dziełem wykolejeńca Goebbelsa jest propagowanie nienawiści. Wspominając swoje niepowodzenia literackie — skazuje dziś ludzi twórczych i ich dzieła na zemstę tłumu. Tłum zaś uwielbia młodego i aktywnego ministra propagandy, człowieka, który porzucił cywilizację, aby przyczynić się do po-

wrotu barbarzyństwa. Dyszy dziś pijaną radością, jakiej nie zaznał chyba w okresie, gdy zajmował się literaturą. Oto otwiera — przed tłumem, który go słucha uważnie — szerokie usta, z których pada furja obelg i nienawiści, — co nie przeszkadza mu uśmiechać się ciągle".

Przeistoczenie Niemiec w kraj nienawiści ułatwione było przez zamęt, jaki wytworzył się w następstwie klęski wojennej, inflacji, kryzysu i bezrobocia. Współdziała tu buta narodowa. Pycha jest bowiem nierozdzielnie związana z uczuciem nienawiści.

Republikanie żywili zrutynizowaną, mieszczańską wiarę w legalizm. Dlatego nie mogli nigdy pojąć ani wyobrazić sobie fenomenu nienawiści, która wokół nich wzbierała. Powtarzali: „To minie. Narodowi socjaliści pożrą się sami między sobą. Gdy pewnego dnia najbardziej umiarkowani wezmą udział w sprawowaniu władzy — ustatkują się i nabiorą poczucia odpowiedzialności". Żaden bodaj republikanin nie przewidywał wyjęcia z pod prawa — socjalistów, Żydów, intelektualistów, ani obozów koncentracyjnych, bojkotu i innych metod następców — republiki.

Typ ludzki pokroju „nazi" nienawidził nietylko rzeczywistej republiki z jej błędami i niefortunnemi posunięciami; czuł on wstręt do idei, którą republika reprezentowała. „Bunt barbarzyński przeciw intelektowi był główną pożywką nienawiści — obłąkanej, terrorystycznej, niezdolny do opanowania nawet na widok zwyciężonego, zgnębionego wroga. Tak wybujała nienawiść staje się obsesją, opętaniem ciał i dusz. Dziś nazi mogą być spokojni. Partje i przeciwnicy ukorzyli się lub zdezertowali bez walki. Jednak — niepokój dręczy świadomość hitlerowską. Przeczuwają, że teror nie rozstrzyga o unicestwieniu idei, które nadal ożywiają myśli i uczucia pognębionych, maltretowanych i wygnańców. Nie pozostaje im jednak nic poza dalszem prześladowaniem i ustawiczną nienawiścią. — „Ich nienawiść zaczyna wkońcu godzić w nich samych. Stają się ofiarami własnego kompleksu. Nawiedzają ich wizje zdrajców. Zdradzają kraj! Zdradzają nas!".

„Nienawiść, przekroczywszy granicę samowystarczalności, wyradza się w strach paniczny. Widzę ich w pałacach rządowych, podczas narad, które nigdy nie zmierzają do zdrowego i rozumnego planu. Zajmuje ich jedynie problem ujarzmiania, coraz doskonalszego gnębienia i teroru. ...Hitler, najtęższy artysta bandy, rysuje szubienice, podczas gdy młody minister propagandy ustala dekoracje i aktorów egzekucji. Nienawiść hitlerji zbliża się do punktu, w którym przeistoczy się w trwogę obłąkańca."

WARTOŚĆ MATURY

W czasopiśmie *Ogniwo*, organie Związku Nauczycielstwa Polskiego, zamieścił Paweł Hulka-Laskowski interesujący artykuł p. t. „Wartość matury". P. Hulka - Laskowski przypomina głośny w swoim czasie wynik ankiety dyrektora Szkoły Sanitarnej w Warszawie. Ankieta ujawniła niewiarogodnie niski poziom wykształcenia maturzystów. Niedawno też na uniwersytecie praskim przeprowadzono podobną ankietę drogą rozmów pomiędzy profesorami, a maturzystami. O tych rozmowach pisze p. Hulka - Laskowski:

„Technika tych rozmów nakazywała dawanie odpowiedzi bez namysłu, czyli że egzaminowany miał składać dowody, że o rzeczach elementarnych życia powszedniego doskonale wie. Odpowiedzi sypały się z wielką pewnością siebie, chociaż w profesorach musiały budzić grube zastrzeżenia. Na pytanie np., kto to jest Lindbergh, pytany odpowiadał bez zająknienia: — Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. — A Velasquez? — Podróżnik hiszpański. — Czyżby? — Przepraszam, Velasquez to przecie sławny meksykański poszukiwacz przygód.

Badano w ten sposób 63 „freshmanów", a 50 z nich nie miało najmniejszego pojęcia kto to był Carnegie. Z pośród przyszłych przyrodników połowa nie wiedziała zgoła nic o sławnym systematyku szwedzkim Linneuszu. Mało który z tych świeżych maturzystów wiedział coś niecoś o starszych czeskich pisarzach, malarzach, przyrodnikach. Brak zainteresowań posuwał się tak daleko, że ci młodzi ludzie ignorowali nawet pomniki wybitnych ludzi, około których przechodzili po kilka razy dziennie. Znaleźli się i tacy, którzy nie wiedzieli nic o sławnym czeskim wychowawcy, Komenskim. Współczesny pisarz czeski, Karol Capek, napisał bardzo poczytne „Listy z Anglji", przetłumaczone nawet na język francuski dla ich pięknej formy literackiej, dowcipu i myśli głębokich. Na pytanie kto napisał „Listy z Anglji", „freshman" odpowiedział spokojnie i z wielką pewnością siebie: Oskar Wilde.

Co zacz jest Venizelos? — Rumun, czy Włoch...— A Einstein? — Uczony od odmładzania. — Kto skomponował „Carmen"? — Ryszard Wagner. — A kto to jest Locke? — Rekordzista amerykański w biegu na 200 metrów. — Filozof angielski XVII-go wieku przemienia się na poczekaniu w rekordzistę amerykańskiego. Bieg na 200 metrów. Ścisłość i dokładność nadzwyczajna. Odpowiedzi wypadają bardzo dobrze, gdy profesorowie pytają o Nurmiego, Paddocka, Koželuha, Sonję Hennie, Zamorę i t. d. Ba, sport i kino to już sfera nietylko zainteresowań, ale i zamiłowań oraz ambicyj, więc pokolenie dzisiejsze zdobywa sobie wiadomości z tej dziedziny poza szkołą, jak pokolenia dawne zdobywały sobie rozległe wiadomości z literatury ojczystej wbrew szkole zaborczej".





TEATR

«BOSTON» B. BLUME'A. PRZEKŁAD I ADAPTACJA JERZEGO KOSSOWSKIEGO. STUDIO TEATRALNE IM. ST. ŻEROMSKIEGO

Od chwili wejścia na salę tego „Studio" ogarnia nas atmosfera rzeczy nowych. Jesteśmy zrazu zdezorjentowani. Wszystko tu inne, niż w starym, tradycyjnym teatrze. Rozglądamy się — zaintrygowani. Więc szereg scen — na dole, na pierwszem piętrze, na drugiem, po bokach i na środku sali... Jakież to będzie widowisko?

„Odrodzić aktora — przywrócić władzę żywemu słowu — pobudzić twórczość autorską — oto czego pragniemy — do czego dążymy — czemu służyć ma w nieskończonych swoich odmianach — ta dziwna scena-widownia" — tak pisze Irena Solska w *Biuletynie* informacyjnym Studio Teatralnego im. St. Żeromskiego.

„Scena-widownia" — ścisłe określenie, scena bowiem, a raczej sceny rozrzucone są to tu, to tam — na widowni.

Przed rozpoczęciem spektaktu przerzucamy kartki *Biuletynu*, który daje nam wysoce interesujące wyjaśnienia. Architekt Szymon Syrkus, twórca tego „przestrzennego ukształtowania" widowiska w krótkim szkicu daje umotywowanie nowej koncepcji „sceny-widowni":

„Wyobraźmy sobie dystans, dzielący płaski profilowy rysunek egipski od perspektywy obrazu renesansowego, odgraniczonego ramą od reszty świata. Scena pudełkowa jest właśnie taką ramą renesansowego obrazu. Następnym etapem przestrzennej twórczości teatralnej jest teatr o wielu scenkach rozrzuconych pomiędzy widzami. Jeżeli np. uwięziony Sacco myśli o ukochanej żonie, a w tym samym czasie Rosina myśli o nim w swojem mieszkaniu, lub czyni rozpaczliwe starania o uwolnienie go, to dlaczego mielibyśmy te jednoczesne sceny pokazywać kolejno, kiedy mechanizm widowni pozwala wygrać je w jednoczesności życia, o ile zgodzimy się na nową umowę, polegającą na skondensowaniu miejsc gry w przestrzeni. (Na skondensowanie gry w czasie dawno się wszyscy zgodzili). Na zasadzie tej umowy widz musi zgodzić się, że tylko kilka kroków dzieli ubogą dzielnicę, w której mieszka rodzina Sacca, od Hotelu Carlton, gdzie ucztują miljonerzy; że Sąd odbywa się na tle krat więzienia, które wyrasta w środku sali. Aktor wychodzi z ram otworu scenicznego i porusza się nie w płaskim rzucie na płaszczyznę horyzontu, ale w pełnowymiarowej przestrzeni widowni. Ta nowa sytuacja zmusza go do wygrania całej postaci — tyłu, boków, przodu, które stają się równoważnemi elementami.

Tę zasadę dawno już przyjęła nowa architektura, równoważąc w budowie miast wszystkie fasady: lice „od podwórza" jest w nowych osiedlach równoważne „licu od ulicy". Wiem, w jakim stopniu ta myśl uzdrowiła architekturę, i wiem też, że odnowi ona teatr.

Prosimy więc aktora, ażeby zszedł z konturnów, do których przyzwyczaiła go tradycyjna scena. Wmieszanie się aktora w widownię nosi w sobie zarodek zaktywizowania widzów — do którego dąży młoda architektura teatru i w Belgji, i w Niemczech przedhitlerowskich (Piscator-Gropius) i w Z.S.S.R., idąc drogą właściwego rozwoju."

Wywód — logiczny, przekonywujący. Ale jaka będzie realizacja? Możemy teorję uznać za słuszną, ale w teatrze — jak w każdej dziedzinie sztuki — o wartości rzeczy decyduje tylko siła wrażenia.

Rozpoczyna się widowisko. Zrazu przeszkadza nam siła złowroga — przezwyczajenie: do innego teatru, do innych rutyn, nałogów, tradycji. Ale — stary teatr robi ostatnimi czasy wszystko, żeby nas od swoich tradycyjnych walorów jaknajszybciej odzwyczaić, zniechęca nas do siebie, odstrasza, nudzi, nudzi, nudzi! To ostatnia zasługa starego teatru: ułatwia nam przyjęcie rzeczy nowych.

Już po kilkunastu minutach wdrażamy się w nową sferę wrażeń, przyjmujemy je bez oporu, poddajemy się sugestji „sceny-widowni", z zadowoleniem coraz większem, stwierdzamy *zwycięstwo nowej koncepcji*. Jesteśmy świadkami kapitalnej zdobyczy. Raduje nas dokonany przełom, burzycielska i twórcza rewolucja w dziejach teatru.

Widowisko rozwija się logicznie, z nadzwyczajną, podziwu godną sprawnością. To, co — jak mogło się wydawać — miało zagrozić skupieniu, rozproszyć uwagę — to właśnie kondensuje, pogłębia i znakomicie wzmacnia siłę wrażeń.

Zwycięstwo teatralne — na całej linji. Oto — w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu — sensacja. Trzeba było na to wielkiego wysiłku garstki entuzjastów, żeby tam właśnie, na Żoliborzu, w najtrudniejszych warunkach — pokazać dobrą, twórczą nowinę.

Reżyserja p. Michała Brandta — ponad wszelkie pochwały. Zespół aktorski — choć niema tu renomowanych „gwiazd" — doskonały. Na najgorętszy poklask zasługują: pp. Baczyński, Szabłowski, Zarembińska, Ziembiński, Relski, Kempa, Kędzierska, Sobotkowska, Słupski.

***

Utwór B. Blume'a jest żywy, i barwny i... gorący. Z pośród „reportaży" teatralnych lat ostatnich niewątpliwie najlepszy, chociaż o nienajwyższym poziomie literackim. W *Biuletynie* pisze p. Wiesław Wohnut: „Należy i tę sprawę postawić jasno. Nie walory literackie tej sztuki zadecydowały o jej wystawieniu, a przynajmniej, nie jej walory literackie jedynie. Przeważyły możliwości inscenizacyjne, tkwiące w tych 48 obrazach scenicznych, które odgrywają się na kilku poziomach w kilku miejscach sali i to częściowo równocześnie."

Do tego eksperymentu sztuka Blume'a istotnie nadawała się wyśmienicie.

J. W.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

PODRÓŻ DO INDYJ

Podróżnicza literatura polska przedstawia się niezmiernie ubogo. Nic dziwnego! Należymy do narodu zasiedziałego na miejscu, mało przedsiębiorczego i stroniącego od dalekich wypraw i podróży. Na dalekie światowe szlaki wiódł nas z reguły przymus — do Ameryki pędziła bieda, na szerokie równiny syberyjskie gnało nieszczęście. Mało kto podróżował dla zaspokojenia wewnętrznej potrzeby poznania czegoś nowego, skonfrontowania swych wyobrażeń o egzotycznych krajach z rzeczywistością, lub dla głodu wrażeń, tak charakterystycznego np. dla rasy anglo-saskiej.

Na szczęście dla polskiej literatury jeden z jej czołowych pisarzy — Ferdynand Goetel — posiada żyłkę podróżniczą. Gna go po świecie jakaś tęsknota poznania i dociekania prawdy. Robi wrażenie, że pragnie w siebie wchłonąć, niemal dotknąć na miejscu zjawisk, które zaprzątają świat, aby je poznać do głębi. Ten nieukój poszukiwacza prawdy zawiódł go ostatnio do Indyj *), na które spojrzał swem bystrem, przenikliwem okiem zachodniego Europejczyka, pełnego zaciekawienia i sceptycyzmu. Bawił w Indjach zaledwie kilka miesięcy i przeciął je olbrzymim łukiem od Bombaju poprzez Lahorę, Benares, podnóże Himalajów, Madras aż do Madury, a jednak powiedział o Indjach więcej nowego, niż niejeden specjalista.

Niema bodaj kraju, który budzi tyle sprzecznych wyobrażeń, sądów, zachwytów i potępień, co Indje. Mistyk widzi w nich pra-źródło tajemniczych nauk okultystycznych i uważa niemal za świętość; społecznika oburza kastowość i przepaść między nędzą mieszkańców a bogactwami naturalnemi kraju, artystę oszałamia przepych przyrody i nęci jak bajka wspaniałość bogactw maharadżów; polityka niepokoi zagadka przyszłości; pacyfistę rozczula najszlachetniejsza ze znanych dotychczas walk o niepodległość i osoba Ghandi'ego.

Goetel wobec wszystkich spraw hinduskich zachowuje niezmącony spokój i umiar, co sprawia, że mgła legendy nie zasłania mu istoty żadnego zjawiska. Nikt, kto urobił sobie obraz Indyj na zasadzie własnych marzeń i tęsknot, nie znajdzie w książce Goetla potwierdzenia swoich wyobrażeń. Niektórzy będą się może nawet zżymać na autora, że im rozwiewa ich sny, bo człowiek nie lubi, gdy mu odbierać złudzenia — ale dopiero w oświetleniu Goetla rozumie się wiele spraw i zawiłości hinduskich.

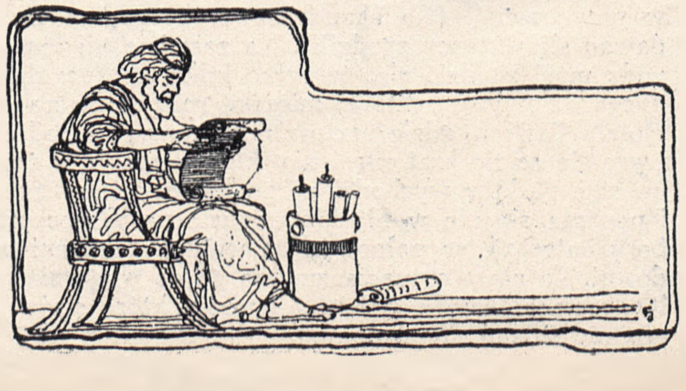
Autor „Z dnia na dzień" spojrzał na Indje przez szkła głębokiego sceptycyzmu człowieka Zachodu, to też nie traci trzeźwości w ocenie żadnego zdarzenia ni zjawiska. Mistycy mogą mu wziąć za złe, że obrzędy religijne i ich sens ocenia w zestawieniu z innemi religjami. Jednakże rozdział „W Benares", pisany w formie djalogu, rzuca tyle światła na zagadnienia religijne z punktu widzenia jednostki i społeczeństwa, że może dać więcej materjału do rozmyślań od niejednego traktatu. Zmysł historyczny i poczucie rzeczywistości dziejowej nie pozwoli Goetlowi prześlizgnąć się powierzchownie po zagadnieniu walki angielsko-hinduskiej i wylądować na mieliźnie łatwego stwierdzenia, że słuszność leży po stronie Hindusów. Goetel ujmuje zagadnienie głębiej, spoglądając na nie z wyżyn wielu wieków historji, a zarazem przez pryzmat psychologji tubylców i ich bytu. Zachowując zupełną bezstronność, dostrzega olbrzymie zasługi, jakie Anglicy położyli w Indjach. Mało tego! Ryzykuje twierdzenie, że bez Anglików nie możnaby sobie wyobrazić dzisiejszego odrodzenia Indyj, które grzęzłyby nadal w skostniałych formach odwiecznego bytu, a idealizm Mahatmy przyłapuje na wielu bardzo „przyziemnych" posunięciach.

Goetel jest wyznawcą kultury zachodnio-europejskiej, dla której nabiera jeszcze większego uwielbienia przy zetknięciu się z innemi kulturami. Ten głęboki sceptyk, który nie zawaha się powiedzieć o mieszkańcach Europy jako o „garstce ludzi, opętanych złudzeniem, że świat do nich należy, a nie oni są garstką piachu, posianą po ziemi" — usprawiedliwienie życia znajduje w użytecznej pracy ludzkiej. „Praca" — mówi przez usta inżyniera M. — „jest to właśnie najpewniejsza, najbezpieczniejsza ucieczka przed życiem. I właściwie, w rezultacie: treść życia". Wobec takiej postawy nie dziwi nas, że Hindusi są dla niego bardziej obcy od Anglików.

Liczne uwagi autora, jego wynurzenia i refleksje sprawiają, że „Podróż do Indyj" przestaje być książką jedynie podróżniczo-sprawozdawczą, a sięga dużo głębiej. W świetle tych wypowiedzeń rysuje się nam oblicze duchowe autora, jako człowieka ogarnianego często depresją, a nawet zmęczonego, który jednak — mimo cały sceptycyzm — zachował dużo optymizmu. Przeciwnik wszelkich doktryn, widzi lepszą przyszłość w dalekiej odległości, ale nie niecierpliwi się z tego powodu. Powściągliwy, trzymający na wodzy swe uczucia, rozrzewni się przecież, gdy powiada o bezinteresownej działalności polskich misjonarzy w Indjach — drugiem bowiem obok pracy usprawiedliwieniem życia i jego nakazem jest według Goetla humanitaryzm.

Zalety pióra autora „Ludzkości" są zbyt znane, aby zachodziła tutaj potrzeba zwracania na nie specjalnie uwagi. Umiar, niemal skąpstwo słowa przy jego nadzwyczajnej precyzji i trafności, oraz niemal dotykalna plastyka sprawia, że miasta, sceny z ulicy, mityngi, rzeki, dżungle, góry — słowem całe Indje przesuwają się przed oczami czytelnika w pełni swej oryginalności i odrębności. To, że oprowadza nas po nich nietylko pierwszorzędny pisarz, ale i człowiek dużej kultury umysłowej, podnosi jeszcze bardziej urok tej znakomitej książki podróżniczej.

J. Waśniewski



*) Ferdynand Goetel: Podróż do Indyj. Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1933 r.

ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA

OJCZYZNY

Naraz któraś ojczyzna zawoła...
I trzeba biec, jechać, rzucić wszystko...
Wspomnienie z turkotu koła
się wysnuje, z drżenia majowych listków.

I naraz ta tęsknota, tęsknota obrazowa —
Tęskny obraz stacyjki, akacyj i toru —
A potem dźwięki, rzeka, deszcz, psy, i podkowa
zgubiona z brzękiem w igliwie pachnącego boru.

Albo inna ojczyzna: mały, ciemny pokój,
gdzie tak długo się chorowało. —
W okna lazły drzewa z nocy, jak smoki,
sięgały łapą po serce, po oddech, po gardło...

Albo człowiek... Także ojczyzna...
Ten ktoś zapomniany, kogo się minęło nieuważnie.
Co też on kiedyś powiedział? Czy wyznał —
Ależ tak! O — jakże go odnaleźć?!

Ojczyzny, po świecie całym rozrzucone,
Ojczyzny człowieka — który żadnej ojczyzny niema,
nie wołajcie, nie każcie płakać po straconem,
po latach, po miejscach, po ludziach — noc i tak jest ciemna.

NOCĄ

Noc za oknem. Wiosna rośnie.
Szumną falą rośnie, wzbiera.
Myśl za myślą. Jakże groźnie
żyć i myśleć i umierać.

Rosja, Łódź, Klimontów, Hitler,
Mortimer i Pabjanice —
i wciąż bliżej wojny widmo,
i wciąż gęściej szubienice.

Noc za oknem. Krzywda rośnie.
Krwawą falą rośnie, wzbiera.
Śmierć, idea, miłość, wiosna —
strasznie wiedzieć i wybierać.

I świt wreszcie. A wiatr z jękiem
ponad miastem gniewem szumi.
Pięknie żyć, dobrze umierać,
gdy się wierzy i rozumie.



EMISARJUSZKA AKCJI KATOLICKIEJ

Pociąg dalekobieżny na kresy południowo - wschodnie. Przedział dla kobiet.

Jest nas siedem. W tem cztery młode panny. Dwie zdały w ubiegłym roku maturę, — obie z klasztoru Urszulanek (Poznań i Lwów), — trzecia, najstarsza. ukończyła przed kilku laty jedną z chlubnie znanych prywatnych szkół warszawskich, — ostatnia, mieszkanka kresowego miasta, sądząc na oko — bez dyplomu. Trzy pierwsze, zawarłszy znajomość, trzymają się razem.

Ale nie młode te osoby, stanowią atrakcję najważniejszą przedziału — stają się one raczej wdzięcznym chórem, powtarzającym nieskomplikowany przyśpiew.

Rolę bowiem głównego aktora i zapowiadacza stanowczo i od początku obejmuje pani w okularach, siedząca przy oknie. Obejmuje z natchnienia, z wewnętrznej potrzeby, ze zwyczaju. Odgrywa ją świetnie. Staje się odrazu spiritus movens przypadkowego zespołu. Nieśmiałym i jakże niedoskonałym tylko wtórem jest jej sąsiadka z przeciwka, matka poznańskiej urszulanki.

Siedząc przy drzwiach, usiłuję czytać, — lecz przeszkadza mi niemilknąca rozmowa i widok ślicznej zieloności, przesuwającej się przed oknami. — Milczę; mimowoli, a chwilami „z wolą" słucham. — Monologuje pani w okularach.

Już po kilku minutach wiem, że pracuje „społecznie", że jest przedstawicielką Akcji Katolickiej, że objeżdża z latarnią i przezroczami Polskę, sięgając do samej granicy bolszewickiej. — W ręku *I. K. C.* („że też w Japonji istnieje jeszcze handel kobietami! Co za upodlenie!"), na stoliczku „Przodownik", Förstera „Chrystus" i bardzo zachwalana książka p. t. „Więcej radości". Na twardej ławce — rozpostarty miękki pled. Uprzejmym ruchem praktykującej dobroci zaprasza każdą z nas po kolei. Siadają trzy młode.

Mówi, mówi starannie wydzielając słowa. Widać, że przemawianie stało się jej drugą naturą. Głos kulturalny, równy, słodki, — słodycz w ustach, spojrzenie z pod ciężkich powiek — świadome, życzliwie - obserwujące. Jest wykształcona i natarczywa; naciera swą niepowstrzymaną akcją, — wszystko, co wypowie, jest à thèse, celowe, pouczające, pedagogiczne, kształcące, znamienne, apostolskie i misyjne. — Zresztą „miche — mache" i charakterystyczne pretensje:

„Szkoda mi Podola. Cóż to za piękny kraj! I jak też Polska mogła go się tak lekkomyślnie wyzbyć! Tyle tam wielkich majątków. Co za dobra! A teraz ci nieszczęśliwi dawni właściciele męczą się i trapią. Oddała takie Podole za Pińszczyznę, za te błota

i nieużytki". — Po przerwie, uderzając palcem w *I. K. C.:*

„Jędrzejewicz — premjerem! Teraz nas dopiero ściśnie, trudno będzie oddychać", i dalej: „On podobno jest Żydem". Sąsiadka z przeciwka dość stanowczo zaprzecza. „A jednak, sądząc z fotografji wygląda na to, a i wojewoda wołyński Józewski — podobno także...".

— „Na pierwszego maja szły dzieci w Warszawie z transparentami, żądając szkoły świeckiej, wolnej od obowiązkowego nauczania religji. Takie rzeczy już się dzieją!" — Któż to organizował". — „Na sztandarze był napis: „TUR". — „Tur? — zainteresowała się urszulanka lwowska (podająca się za córkę redaktora, jednego z „endeckich" dzienników warszawskich) — czyżby to profesor Tur? Ale chyba nie". Uśmiecham się i wtrącam wyjaśnienie.

Inny fragment: „Że też Polska nie dba zupełnie o swoich świętych.. A mamy ich przecież tylu. Taka matka Darowska np., założycielka zakonu Niepokalanek, cóż to była za kobieta. Prawdziwa święta. A Andrzej Boboli, — jaką mu cześć okazują we Włoszech! A przecież jest dopiero beatyfikowany" — „Taki proces kanoniczny, zauważa jej vis-à-vis, jest bardzo kosztowny" — „Tak, oczywiście, przyznaje, ale jednak to tylko nasze niedbalstwo. — Francuzi inaczej postępują ze swoimi świętymi. Jak byłam w Rzymie, wściekałam się, widząc ich owocne starania".

Potem długie epizody wspomnień z osobistego życia. Odsłanianie ciężkich przejść, które ją wprowadziły na drogę „apostolstwa", — orędownictwo świętej Tereski, darzącej ją szczególną łaską, — cały aparat bigoterji i dewocji, wsparty o pewną kulturę i może nawet o specyficzny gatunek miłości bliźniego.

Ale znów: „Ci Żydzi", „to żydowstwo", „nie kupować u Żydów" — i natręctwo misji, i promieniujące samozadowoleniem „ja".

„Na Wołyniu, wyobrazi sobie pani, są utrakwistyczne szkoły, w których polskie dzieci muszą się uczyć wszystkiego po ukraińsku. *Muszą!* Proszę sobie wyobrazić, do czego to dochodzi! Co za tyranja!"

I dalej — nowy temat: Laski. Entuzjazm dla hr. Czapskiej — i dla samej instytucji. Słonecznie, miło, jasno. Każdy może przyjechać, poznać, nawet zamieszkać! Samo dobro i miłość. Opowiadanie o niewidomych dzieciach. „One nawet pielą. Jak to się dzieje, że odróżniają chwasty od dobrych roślin?" — Staram się wśród tej miodopłynności zachwytów nie stracić mego własnego stosunku do Lasek.

„Czytałam śliczną książkę o Laskach: „Świat po niewidomemu, Boguszewskiej", wtrąca Urszulanka ze Lwowa.

Pani z Akcji Katolickiej, tak rozpływająca się na każdy temat, puszcza tę wiadomość mimo uszu; po krótkiem: „tak", — milknie.

Jedna z dziewcząt opowiada o nauce w klasztorze: „Podpowiadanie na lekcjach było bardzo rozpowszechnione. Koleżanki, mające dobry wzrok, umiały świetnie ściągać". — „A, to jednak nieładnie, należałoby się tego wystrzegać". — „Zapewne; ale robiła to doskonale nawet przewodnicząca naszej sodalicji". — „W takim razie należało powiadomić o tem ojca moderatora", odpowiada stanowczym głosem pani z Akcji. — „Solidarność koleżeńska", replikuje nieśmiało panienka. — „Są wypadki, gdy trzeba zdobywać się na to bohaterstwo, gdy obowiązkiem jest powiadomić...".

Siedziałam wśród dziwnych uczuć. Już od dawna nie znajdowałam się wobec bukietu tak obcych mi kwiatów. Katolicka pani stworzyła atmosferę o specyficznym zapachu i barwie. — Otoczenie przyjmowało jej słowa z milczącą, lub jawną aprobatą. Matka i panienki dźwięczały z nią unisono.

Stanął przedemną świat prawie zapomniany, zdawało się, niegdyś przezwyciężony. I oto zmartwychwstał — a właściwie nigdy nie przestawał żyć. — Okazało się, że jest blisko, tuż obok nas, za cienką jedynie ścianą. Rozrósł się i daje nietylko słowa...

Wszystko to, bowiem, co było mówione w wagonie, ma swój życiowy odpowiednik, warunkuje i powoduje czyny, stwarza specjalną „postawę życiową", wyraża się nazewnątrz, jako teraźniejszość i wejdzie jako zaczyn najbliższej przyszłości.

Prawda i fałsz, religja indywidualna i wojujące, wciskające się wszędzie propagatorstwo, raz poraz zawadzające o zagadnienia polityczne i państwowe, raz po raz uzurpujące sobie prawo rozstrzygania wszystkiego, ingerowania we wszystko. — Pełne słodyczy fałszowanie faktów przez krótkowidztwo, nieświadomość, ale i przez wyraźną złą wolę.

Trudno uchwycić wątłą linję demarkacyjną pomiędzy jednem, a drugiem, pomiędzy „tak", a „nie". Wymyka się, jak piskorz. Wiele rzeczy tu się wymyka. „Słóweczka" — puszczane — kiełkują, kwitną, owocują.

„Zasięg klerykalizmu w Polsce", o którym mówił niedawno prof. Ułaszyn, jest szeroki.

Epizod w wagonie, acz drobny, stanowi znamienny jego specymen.

Łącznie z tem mignęło przede mną i inne zagadnienie. *Młodzież.* Czuła antena i bezwolny, a doskonały przewodnik prądów, nadawanych przez akumulatory gęsto rozsiewane po Polsce.

Cztery panienki, właściwie trzy — rozmawiają. Korzystając z pogrążenia się pani z Akcji Katolickiej w lekturze, mogą mówić ze sobą o tem, co je interesuje. Więc — sukienki, kostjumy do nart, komponowane przez zakonnice, barwienie ust i twarzy. Nowoczesne mieszkania, nowoczesne meble; są ich zapalonemi zwolenniczkami, — widać że stoją na wysokości zadań toaletowych dzisiejszego dnia — widać, że porywa je powierzchowny nurt współczesnego świata.

Sądzę, że po dłuższym czasie możnaby się tu dosłuchać i innych ech dzisiejszego „ułatwionego" życia. Ale — o dziwo! — żaden pełny, bogaty dźwięk nie dobiega ucha, najczujniej nastawionego. Pustka, jakaś przykra, nudna pustka.

Brak duchowego stylu, brak wyraźnej osobistej kultury, brak mocnych i poważnych zainteresowań.

Wszystkie te panny otrzymały religijne, katolickie wychowanie. Przeorywano im dusze wszerz i wzdłuż pewną etyką, pewnem *modus vivendi*. I oto efekt wybitnie zastanawiający: *nijakość*, manekinowa, nijakość duszy.

Wygląda to tak, jakgdyby istniejące zadatki na określony koloryt psychiczny, zostały dokładnie od-

barwione, jakgdyby celowo czyniono te panny indyferentkami na rzeczy w dzisiejszej epoce wielkie i ważne, dobrotliwie pozwalając im brać z niej to, co nieistotne, błahe i łatwe.

Oczywiście, hodowanie barankowości i nieodpowiedzialności osobistej za poważne sprawy życia może być bardzo przydatne i wygodne dla wszelkiego rodzaju „pasterzy" — ale co przynosi „sub speciae aeternitanis", i czy ostać się może wobec ideału wyzwalania w człowieku *wyższego człowieczeństwa?*

N. Samotyhowa



KUŹNIA ŻYCIA, CZY KUŹNIA WYKOLEJEŃCÓW?

(Dokończenie).

Coś tu oczywiście nie jest w porządku. Zakłady średnie i wyższe hodują młodzieńców, którzy mogą jeszcze wprawdzie zajmować drugorzędne pozycje na coraz bardziej odpowiedzialnych stanowiskach, brak jednak całkowicie kadr młodych sił, przeznaczonych na stanowiska najwyższe, brak przywódców w obecnym chaosie, brak tych, którzy potrafiliby gigantyczne gospodarstwo światowe ująć w jednolite karby. Bowiem, aby móc stworzyć syntezę współczesnych stosunków, nie wystarczy być świetnym prawnikiem, ekonomistą, lub jeszcze świetniejszym dyplomatą, trzeba przedewszystkiem badać prawa twórczości technicznej, oraz ustalać prawa oddziaływania tejże twórczości na układ sił gospodarczych i ekonomicznych. Do tego zadania niestety nie przygotowuje się ludzi w żadnej szkole, ani średniej, ani wyższej.

Jeśli edukacja według wzorów starożytnych miała może jeszcze pewne uzasadnienie za czasów Jagiellonów, obecnie stanowi ona bardzo niebezpieczny anachronizm. Za bogaty jest nasz wiek w twórczość oryginalną, abyśmy musieli koniecznie uzupełniać braki kulturalne wspomnieniami zdobyczy starych kultur, a z tem już zgodzić się musimy, że istotnymi twórcami naszej epoki, twórcami, kształtującymi obecne warunki życia są fizycy i technicy. Zresztą— wspomnijmy mimochodem — również w dawniejszych czasach poza pionkami dziejowej szachownicy: faraonami, królami i strategami, zawsze odkryć można skromną postać bezimiennego wynalazcy-technika.

Dziś wpływy myślenia technicznego dają się obserwować we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego. Zasada „życia ułatwionego", wysuwana dziś przy rozwiązywaniu problemów społeczno-seksualnych, jest przecież dokładnie znana technikowi, a co więcej zrodziła się przecież już wiele tysięcy lat temu w warsztatach wynalazców. Nieobecność szkoły, a w każdym bądź razie jej bierność przy kształtowaniu nowego oblicza ludzkości, nowego obrazu świata ziemskiego, zarysowuje się również wyraźnie w życiorysach wielkich twórców ery ujarzmionych sił przyrody. Nasza epoka technizacji rozpoczyna się właściwie od maszyny parowej. Otóż większość „pionierów pary" miało wykształcenie mniej, niż elementarne, prawdę powiedziawszy — zaledwie umiało czytać i pisać. Taki Newcomen, poprzednik Watta, był handlarzem żelaza i prawdopodobnie nigdy nie chodził do szkoły. James Watt, istotny twórca epoki maszyn i energji jako dziecko pobierał naukę w warsztacie ojca stolarza; George Stephenson, konstruktor pierwszych lokomotyw, pracował od ósmego roku życia w górnictwie i oczywiście nie mógł chodzić do szkoły. Pisać i czytać nauczył się dopiero mając lat osiemnaście i wtedy był uczniem szkoły powszechnej wieczorowej. Również William Murdock, najbliższy współpracownik Watta, nie znał szkoły.

Samoukiem był Dalton, wskrzesiciel idei atomistyki. Humphrey Davy, chemik, fizyk i poeta w jednej osobie, był uczniem aptekarskim i z tego zawodu zaawansował na jednego z największych uczonych swojej epoki. Znakomity James P. Joule uczył się w domu i następnie był uczniem Daltona. Samoukiem był również wynalazca maszyny tkackiej Jacquard, a Elias Howe, konstruktor maszyny do szycia, uczęszczał do szkół tylko przez kilka lat i to jedynie w miesiącach letnich. Wyłącznie szkołę ludową przeszedł Henry Bessermer, słynny pionier metalurgji, wynalazca „gruszki Bessermera". Andrew Carnegie, król stali, multimiliarder, który na cele naukowe i dobroczynne zapisał przeszło 3 miljardy złotych, nigdy nie uczęszczał do szkół, a od jedenastego roku życia sam zarabiał na swe utrzymanie, najpierw jako robotnik fabryczny, później jako maszynista i posłaniec pocztowy. A już prawdziwym fenomenem wśród wynalazców był Richard Arkwright, twórca pierwszej w całem tego słowa znaczeniu fabryki, wielkiej miary wynalazca. Arkwright prawie przez całe życie nie umiał ani czytać, ani pisać i dopiero krótko przed śmiercią przestał być analfabetą.

Wielki Faraday, twórca elektrodynamiki, zawędrował od kleju i listew introligatorskich prosto do gabinetu fizykalno - chemicznego Dawy'ego. Świetny fizyk Rümmkorff uczy się tokarstwa i jako czeladnik wędrowny zarabiał na swój chleb. Nie należy również zapomnieć o Archimedesie naszych czasów, zmarłym rok temu Edisonie, który prawie wcale nie korzystał z nauki szkolnej.

Możnaby jeszcze dołączyć bardzo wiele nazwisk do przytoczonej listy wielkich twórców naszej epoki, których oblicze umysłowe wyrzeźbiło życie, a nie szkoła. Zdumiewające te fakty nie mogą nas dziwić, jeśli uwzględnimy całkiem *nieżyciowe* nastawienie zadań i celów dotychczasowej nauki szkolnej.

Pogarda dla zagadnień praktycznych, mających bezpośredni związek z życiem, kult dla czysto werbalnych dziedzin nauki, faworyzowane, aż do naszych czasów, w szkołach średnich cechy umysłowe, miały uczynić z ucznia człowieka wysoce etycznego, obowiązkowego, który zamiłowany w abstrakcyjnych problemach odnosił się do spraw życiowych z filozoficzną wyniosłością.

Nowa szkoła, czyli ta szkoła, która tworzy się obecnie w ogniu dyskusyj pedagogicznych i w laboratorjach żywego człowieka, czyli w rozmaitych szkołach doświadczalnych, musi zerwać całkowicie z dawnemi zasadami. Należy z dumą podkreślić, że w tej dziedzinie pracy twórczej, tak niezmiernie ważnej dla wyciosania ze zrębów duchowych naszej mło-

dzieży nowego człowieka, polska pedagogika bierze bardzo czynny udział. Sądzić należy, iż nowa szkoła polska w bardzo szerokim zakresie zerwie z nieszczęsną tradycją werbalizmu, odrzuci balast pamięciowy i wysunie na pierwszy plan zadań szkoły problem wyrabiania w uczniu umiejętności prędkiego i logicznego myślenia, szybkiego orjentowania się w nowych zagadnieniach, a przedewszystkiem zwiąże szkołę ściśle z aktualnemi problemami życia.

Nie należy się jednak łudzić, że tak szeroko pojęta reforma zostanie przeprowadzona już w najbliższych latach. Należy zwrócić uwagę na fakt, że zachodzi tu konieczność wychowania zupełnie nowych kadr *wychowawców*, bo mała jest nadzieja, aby nauczycielstwo mogło się szybko przefasonować na nowy typ pedagoga.

Niewątpliwie również egzaminy w nowym ustroju szkolnym stracą swój dotychczasowy charakter. Wobec zmniejszenia zasobu koniecznych wiadomości i przesunięcia punktu ciężkości egzaminu w kierunku wykazania pewnych umiejętności, egzamin stanie się bardziej podobnym do próby psychotechnicznej, aniżeli do dawnego typu matury. Ale to już jest kwestja chwilowo jeszcze mało dyskutowana, chociaż właśnie ten problem ma zasadnicze znaczenie. Nie ulega bowiem wątpliwości, że tego rodzaju egzamin byłby już znacznie bardziej dostępny dla człowieka, który nie miał możności uczęszczania do szkoły, a który jednak cenne dla człowieka współczesnego własności duchowe nabył w ogniu życiowej walki.

Na jedną okoliczność chciałbym jeszcze zwrócić uwagę: nawet obecną katastrofę kryzysu światowego ująć można, jako problem pedagogiczny. Nieumiejętne korzystanie ze zdobyczy techniki, partactwo fachowców ekonomistów, bezradność sfer gospodarczych — czyż to wszystko nie jest dowodem, że ludzkość nie zdała matury, że wykazała horrendalną ignorancję w najbardziej żywotnych sprawach?

Dr. F. Burdecki



PRZEGLĄD POLITYCZNY

Świat, zakrzyczany i zahukany wrzaskiem hitleryzmu, ulegając mu, lub stawiając moralny opór, zapomina jakgdyby o... sytuacji w Niemczech. Chodzi nam o refleks nowego reżimu na życiu ekonomicznem Niemiec. Nie trzeba przecież zapominać, że cała możliwość dokonywania przemian hitlerowskich opiera się na utajonej wierze miljonów, że pogięty krzyż przyniesie im polepszenie doli. Wyjaśnienie więc, jak kształtuje się życie ekonomiczne w „trzeciem państwie", co za realne posunięcia poczyniła w tej dziedzinie władza, ma znaczenie zupełnie zasadnicze.

O ile dawniej prasa niemiecka była obfitem źródłem informacji o życiu gospodarczem tego kraju, a wszystkie rządy po kolei, nieraz aż do przesady, usiłowały na przebieg tego życia wpływać, troszcząc się o ujęcie go w ramy jakiegoś planu, o zapobieganie skutkom kryzysu, o tyle teraz i na tem polu zapanowała jałowość.

Cały zapał reformatorski, poza niszczeniem dotychczasowych organizacji zawodowych, ograniczył się do... regulacji produkcji spożycia i cen tłuszczów i do... opłat na rzecz ubezpieczeń społecznych.

Wprowadzenie w życie Schleicherowskiego dekretu o margarynie sprowadziło skutki bynajmniej nie świadczące o organizacyjnych talentach nowych władców: dostępna i hygieniczna margaryna, zasadniczy produkt żywnościowy ludu niemieckiego, znikła z obiegu, ceny masła skoczyły w górę, zjawiły się na rynku szkodliwe falsyfikaty. Poszczególne rządy krajowe, np. turyngijski, przerażone skutkami dekretu, unormować pragnęły cenę masła, wyznaczając drakońskie kary (zamykanie sklepów i więzienie kupców) za pobieranie ponad 1 mk. 20 f. za funt masła. Do rządu centralnego poleciały skargi: wyznaczono cenę obowiązującą masła od 1 mk. 40 f. do 1 mk. 50 f. za funt w całem państwie, wprowadzono kartki na tłuszcze po tańszych cenach dla niezamożnych. W rezultacie następuje powoli chaos i zamieszanie w produkcji i spożyciu tłuszczów, przypominające czasy wojny w Niemczech, albo najcięższe chwile rewolucji w Petersburgu i Moskwie. Takie są wyniki „ludowych" reform ekonomicznych rządu Hitlera, który chciał wystąpić w roli protektora wsi i obrońcy mas niezamożnych po miastach.

Drugi reformatorski dekret, sławiony przez całą „kazionną" prasę niemiecką— pozbawienie służby domowej dobrodziejstw zaopatrzenia socjalnego — miał wywołać znaczne zmniejszenie bezrobocia. Mędrcy z Brunatnego Domu rozumowali tak: zmniejsza się popyt na służbę domową, bo najemca musi oprócz pensji płacić 3,5% na ubezpieczenie służby. Gdy tę opłatę zniesiemy, natychmiast zjawi się masa chętnych do najmowania służby domowej i nastąpi wielka ulga na rynku pracy.

Oczywiście, cały pomysł spalił się na panewce. Liczba poszukujących służby domowej wcale nie wzrosła i z tego znakomitego dekretu została tylko jedna cyniczna reforma: — pozbawienie części pracowników ubezpieczenia socjalnego. Oto „kolosalne" i zbawienne reformy ekonomiczne, które dotąd zdołali wprowadzić w życie hitlerowcy.

Ale to u nich nazywa się socjalizmem. Jeden z najbardziej pyskatych (trudno użyć innego wyrażenia) mówców hitlerowskich, prezes frakcji w sejmie pruskim p. Kube, niedawno na mityngu w Frankfurcie n/Odrą, oświadczył m. in.:

„Nie wyrzekniemy się socjalizmu, jest on wrodzony nam tak, jak pluskwy Polaczkom" (wie die Wanzen den Pollacken).

Zalecamy ten piękny frazes najbliższego przyjaciela Hitlera tym polskim publicystom, którzy wpadają w zachwyt z powodu „polonofilstwa" hitlerowców.

Ten frazes jest świetną ilustracją do mowy kanclerza Hitlera, proklamującej poszanowanie wszystkich narodów, w tej liczbie, i Polaków, i Hindusów.

Taki jest socjalizm hitlerowski, jak poszanowanie innych narodowości wśród tych nowożytnych barbarzyńców.

Wyraz barbarzyństwo jest zresztą zbyt łagodny dla określenia postępowania rządzącej w Berlinie spółki. Czyta się o tem codzień, ale pomimo to człowiek normalny nie może się do tego przyzwyczaić i coraz to coś nowego wydaje mu się niewiarogodnem.

Z ostatnich czasów warto zanotować takie fakciki.

Sąd doraźny w Halle skazał b. przywódcę Stahlhelmu, b. majora d-ra Kleinschmidta na 4 miesiące ciężkiego więzienia. W motywach wyroku sąd hitlerowski oświadczył, że wprawdzie Kleinschmidt był stronnikiem rewolucji naro-

dowej, ale na zebraniu wobec kilku świadków powiedział:

— Tak, jak dawniej zwalczałem morderstwa czerwone, tak samo zwalczać będę morderstwa bronzowe".

To wystarczyło, aby zapakować byłego majora do więzienia.

A oto w Wirtembergji nowy kwiatek: nacjonal-socjalistyczny minister spraw wewnętrznych zapowiedział, że rząd lokalny na próbę wypuści znaczną część znajdujących się w areszcie ochronnym. Uwolnienie to nastąpi, aby „dać im możność złożenia dowodu, że nie będą szkodzić interesom narodu".

Gdyby jednak zawiedli te oczekiwania, wówczas — głosi okólnik wirtemberski— wypuszczeni na wolność będą znowu aresztowani na czas nieokreślony.

Proszę się wmyślić w ten okólnik: „uwolnienie na próbę setek ludzi" pod grozą więzienia bez sądu „na czas nieokreślony". Nic podobnego nie istniało nigdy nigdzie.

Nic też dziwnego, że wstręt i pogarda dla tych siepaczów rosną i że często można notować reakcję szlachetnych duchów na to barbarzyństwo.

Niedawno, znajdujący się na emigracji, pisarz niemiecki Oskar Marja Graff ogłosił w *Arbeiter-Zeitung* protest przeciw temu, że jednej z jego książek nie wciągnięto na listę dzieł zakazanych i nie skazano na stos.

P. Graff pisze:

„Na taki dyshonor nie zasłużyłem. Cała moja przeszłość daje mi prawo żądania, żeby moje dzieła były rzucone w czysty ogień i żeby nie znajdowały się w brudnych łapach pogromców."

***

Stan rzeczy często bywa teraz paradoksalny. Np. demokracja z ufnością i nadzieją spoglądać musi na reakcyjny rząd austrjacki kanclerza Dollfussa, bo stawia odważnie czoło bucie i zaborczości hitlerowców z Niemiec. Czyni to nawet z dużą zaciętością. Uważa, niestety, za swój obowiązek bić także na lewo, aby go nikt nie oskarżył o marksizm. Wynikają stąd absurdy prawne, podważające zaufanie do prawa na świecie.

Kanclerz Dollfuss dla zrównoważenia swojej walki z prawicą rozwiązał lewicowy Schutzbund. Lokalny rząd wiedeński socjalisty d-ra Seitza zaskarżył, postępowanie rządu p. Dollfussa do Trybunału Konstytucyjnego. Ponieważ spór prawny mógł wypaść na niekorzyść rządu, kanclerz polecił sędziom Trybunału, delegowanym przez partję chrześcijańsko-socjalną, aby złożyli mandaty, a na ich miejsce nikogo nie mianowano. W ten sposób Trybunał Konstytucyjny, którego istnieniem mogła się Austrja szczycić, został zdekompletowany i p. Dollfussowi nie grozi kompromitacja prawna.

Ale za to jak wygląda prawo i konstytucja?

Na przykładzie rządu Austrji okaże się zapewne w szybkim czasie, czy rząd autorytetu, nie liczący się z masą ludową, reprezentowaną w danym razie przez socjalizm Wiednia, może uratować państwo. P. Dollfuss, bijąc na prawo i na lewo, ignorując parlament i trybunały, prowadząc na własną rękę układy dyplomatyczne z Italją, Węgrami etc., zamierza ocalić Austrję od nawały Hitlera. Życzą mu wszyscy powodzenia, zdaje się, że nawet gnębieni przezeń socjaliści. Dzieje się to poza masą ludową. Zobaczymy, co da w wyniku swoim ten eksperyment, dostosowany do modnych jeszcze w naszych czasach nastrojów.

St. Gr.



CZY BĘDZIESZ GOTÓW?

Razem z żoną często rozmawialiście o tem, jak pokierować swemi dziećmi. Macie już nawet co do tego swój plan.

Ale wtedy, kiedy one będą gotowe, aby rozpocząć wyższe studja, czy ty będziesz gotów, aby im to zapewnić?

Wobec obecnych dochodów sprawa ta wydaje się rzeczą łatwą. Ale jeżeli w przyszłości dochody te tak bardzo się zmniejszą, że wystarczą tylko na pokrycie najniezbędniejszych potrzeb... Lub jeżeli stracisz wszystko, a nawet życie, to co się z nimi stanie?

40 zł. miesięcznie poświęconych dzisiaj na ubezpieczenie zapewni dziecku waszemu uniwersyteckie wykształcenie.

„PRUDENTIAL"

i

„PRZEZORNOŚĆ"

Warszawa, Plac Małachowskiego Nr. 4



KSIĄŻKI NADESŁANE

Prof. John Mac Cunn: Kształcenie charakteru. Zagadnienia etyczno-pedagogiczne. Przekład Z. Jętkiewiczowej. Przejrzał i do druku przygotował prof. dr. B. Nawroczyński. Książnica-Atlas. Lwów — Warszawa 1933.

S. *Stendig:* System pedagogiczny G. Kerschensteinera. Skład Główny w Domu Książki Polskiej. Cieszyn 1933.

Jarosław Iwaszkiewicz: Lato 1932. Poezje. J. Mortkowicz. Warszawa 1933.

Aleksandra Aniela Wolska: Pryzmat. Poezje. F. Hoesick. Warszawa 1933.

Sprawozdanie Centralnego Związku Przemysłu Polskiego z działalności za rok 1932. Warszawa 1933.

Adam Gallis: Bryły. Poezje. F. Hoesick. Warszawa 1933.

Do CZYSZCZENIA METALI SZYB i LUSTER tylko Sidol

TREŚĆ NUMERU

ZAKŁADY DRUKARSKIE
WACŁAWA PIEKARNIAKA
WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 3. TELEFONY: 644-59 i 754-40
ROK ZAŁOŻENIA 1913
wykonywują wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące
specjalność: wydawnictwa perjodyczne i pisma codzienne, ilustracje jedno i wielobarwne oraz druki w dużych nakładach
zakłady posiadają działy: zecernia ręczna, linotypy, dział maszyn płaskich, dział rotacyjny, introligatornię i stereotypownię



Czytajcie i Prenumerujcie
EPOKĘ
„EPOKĘ" można zaabonować telefonicznie
TELEFON 285-52

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-367 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.